

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie

♪[Fragment utworu „Celina”]

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Przy mikrofonie Martyna Matwiejuk. Gościem Audycji Kulturalnych jest dziś Miuosh - Miłosz Borycki. Witaj.

MIŁOSZ BORYCKI: Cześć. Dzień dobry.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Spotykamy się tuż przed premierą twojego albumu „Pieśni współczesne”. Współwydawcą tej płyty jest Narodowe Centrum Kultury. I to jest taki album wyjątkowy pod wieloma względami. W jego nagraniu wzięli udział muzycy zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”, znakomici twórcy polskiej sceny rozgrywkowej, alternatywnej, a nawet klasycznej. Ty zaś jesteś autorem tekstów i muzyki. Czy to jest najważniejsza płyta na twojej drodze artystycznej dotąd?

MIŁOSZ BORYCKI: Tak. Zdecydowanie tak i nie można chyba powiedzieć nic więcej. Zdecydowanie tak.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ja się zastanawiam, czego wymagało od ciebie stworzenie albumu, który łączy tak wiele światów ze sobą, bo opowiadasz o teraźniejszości, czerpiąc z tradycji. Pojawia się zespół folklorystyczny, pojawiają się bardzo wyraziste charaktery. Jak to wszystko pozyszywać ze sobą?

MIŁOSZ BORYCKI: Ja tak, wydaje mi się, że nie do końca wiedziałem, jak to pozyszywać i chyba to jest ten największy plus tego albumu, bo na takie rzeczy nie ma recepty i to po prostu trzeba robić krok po kroku i w momencie, kiedy robi się pierwszy numer i dopiero się sprawdza, czy się cokolwiek umie zrobić w tym temacie i po pierwszym temacie myśli się, co z tym zrobić dalej, do kogo zadzwonić, żeby to zaśpiewał i czy to nie będzie wstyd. Na przykład zadzwonić do Tomka Organka, wysłać mu ten kawałek ze swoim tekstem, z jakąś swoją linią melodyczną i powiedzieć: „Tomek może byś nie chciał...”. Okazuje się, że Tomek jest zachwycony i to nagrywa i tak po prostu, krok po kroku, coraz dalej się z tym projektem idzie i coraz więcej takich wyzwania się przed sobą stawia, które mogą trochę onieśmielać. Dla mnie to było

ogromne wyzwanie, żeby na przykład jechać całą Polskę do studia i pracować z Julią Pietruchą, która jest, moim zdaniem, ma słuch absolutny, jest fenomenalną wokalistką, wspaniałą osobą, ale przyjechać do studia i pracować z kimś, kto jest tak świadom swojego, tego warsztatu, zdolności i pracy, w zasadzie jest niepotrzebne, bo równie dobrze ona mogła to po prostu nagrać z daleka ode mnie, ale to nie o to chodziło. Fajne było to w tej płycie, że mogłem z każdym z tych artystów złapać kontakt, współpracować na takich naprawdę równych zasadach. Grzebać w tych numerach, grzebać w tych tekstach, dawać im szansę własnej interpretacji. Dawać im szansę własnych jakiś takich sugestii muzycznych, czego nigdy nie miałem w rapie i generalnie najważniejsze, jeśli takie ogromne wyzwanie, to było to, żeby wyzbyć się wszystkiego, czego ja już się w mojej muzyce nauczyłem, bo tu wchodzimy na totalnie nowy grunt. Robimy wszystko od zera. Ja się wszystkiego od zera muszę nauczyć, zrozumieć wiele rzeczy i po prostu przyjąć to i zrobić to najlepiej, jak się tylko da. Według mnie, a na dobrą sprawę nie wiem jak to się powinno robić, więc to było takie brnięcie w nieznaną, po omacku, ale z asystą świetnych ludzi, którzy mi ogromnie pomagali. Mówimy tutaj o współprodukcji płyty, czyli Michale, który nagrywał ze mną większość wokali i pomagał mi potem przy nagraniach instrumentalnych. Oczywiście mówimy o Janku Stokłosie, który napisał orkiestracje i chóry, czy mówimy właśnie o wykonawcach, którzy mieli też bardzo duży wpływ na to, jak te numery potem funkcjonowały dalej, jeśli chodzi o aranże. To było coś, co w rapie w ogóle nie funkcjonuje. W rapie jestem taką dominantą tego wszystkiego i gościem, który decyduje o wszystkim, a wtedy byłem na początku typem, który proponuje, potem gościem, który współpracuje i na końcu jeszcze kolejne decyzje musiałem podejmować. Dla mnie to było totalnie nowe.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Brnięcie w nieznaną, o którym powiedziałaś, wymaga ogromnej odwagi. Tak sobie pomyślałam, że pewnie wielu twórców... Nawet by im przez głowę nie przeszło, że można zrobić tak szalony album. Skąd u ciebie jest ta odwaga? Ten upór, chyba też, artystyczny.

MIŁOSZ BORYCKI: Powtarzanie schematów jest nudzące i ja staram się takich rzeczy unikać, i wydaje mi się, że nie powinniśmy robić rzeczy, które już zrobiliśmy wcześniej, jeśli robimy rzeczy, które mają być twórcze. Szukanie jakichś nowych rozwiązań jest budujące, a jeżeli one zaskakują samego ciebie, to w ogóle jest najlepsze, co można dostać od pracy i moje życie gdzieś tam pokazało, że wchodzenie w jakieś takie wody, których się totalnie nie znało, mogły wydawać się za głębokie, czasem jest strasznie budujące i może stworzyć w ogóle nowe możliwości, i ta płyta jest takim najlepszym przykładem.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ty podczas rozmów o swoich projektach różnej maści, zawsze podkreślasz, że się za nie bierzesz, bo są one

dla ciebie wyzwaniem i mogą cię nauczyć nowych rzeczy. Co w przypadku „Pieśni współczesnych” było tym największym, rozwijającym wyzwaniem?

MIŁOSZ BORYCKI: Nie wiem, to było wszystko wyzwaniem i takim totalnie, poważnie ogromnym, bo moment, w którym ustaliliśmy, że może coś zrobimy z zespołem „Śląsk” i fajnie było współpracować i zaczynaliśmy się spotykać w ogóle, rozmawiać o tym, jak by ten projekt miał wyglądać, a moment, w którym tak naprawdę siadłem u siebie w pracowni i zacząłem pracować nad muzyką to, to było w ogóle dwa różne światy, bo ja przez ten czas jeszcze wydałem jedną rapową płytę i zagrałem większość trasy koncertowej i zaczęła się pandemia, i siedziałem miesiąc w domu, i przez ten miesiąc z domu oglądałem tutoriale na YouTube, które mówiły, jak w ogóle pisać muzykę symfoniczną na komputerze i ja się po prostu nauczyłem, jak robić taką muzykę z internetu. Jest dwudziesty pierwszy wiek i skoro uczę się takich patentów produkcyjnych, które mogę potem zastosować w rapowym świecie, z internetu, czemu się nie mogę nauczyć takich. Ja po prostu się nauczyłem tych rzeczy z internetu, z wiedzy innych, siadłem gdzieś i zacząłem w tym grzebać i tak potem to było trzeba wszystko poprawiać i jeszcze w tym grzebać dalej, ale było to naprawdę ciekawe, takie po prostu zaskakujące, momentami nawet zaskakująco łatwe, bo okazało się, że czasami ciężiej jest stworzyć dobry numer popowy, rapowy, taki rapowo-popowy, w moim przypadku one takie są, niż dobry numer symfoniczny. Ja jestem w ogóle takim... Należę do ludzi, którzy uważają, że muzyka, taka klasyczna, tradycyjna i symfoniczna, chóralna, to jest coś, co mamy w genotypie przez to, ile lat to funkcjonuje w naszym społeczeństwie i te setki lat tego, że nasi przodkowie wychowywali się w świecie, gdzie taka muzyka, była muzyką dominującą i dopiero od sześćdziesięciu, siedemdziesięciu, osiemdziesięciu lat dopiero coś w tej muzyce zmienia się w taką stronę współczesną, powoduje to, że za każdym razem, kiedy ta muzyka jest zrobiona dobrze, wpływa na nas w dobry sposób. Jeżeli to gra ze sobą, to to jest ok, ale jeżeli to jeszcze zmieszamy z najlepszym tym, co możemy znaleźć we współczesnej muzyce polskiej, rozrywkowej, alternatywnej, klasycznej, to to w ogóle zaczyna ze sobą grać. Ja sobie tak po prostu siedziałem w domu i myślałem: „spoko napisałem tutaj jakiś smyk i jakieś trąby i wszystko to fajnie gra, dołożyłem bit taki współczesny, miejski, ale może coś trzeba było tutaj pomyśleć, kogo do tego numeru zaprosić i o czym ten numer miałby być”. I wtedy napisałem na Instragramie do Orlińskiego i on mi odpisał ze swoim numerem telefonu. Zadzwoiłem i zrobiliśmy „Doliny” i po prostu tak powstawała ta płyta.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: I ta płyta też jest taka, że o każdym z tych utworów pewnie moglibyśmy tutaj dłużej porozmawiać. Ja chciałabym cię zapytać o „Pieśń ostatnią”. Jak to się stało, że utwór Maanamu znalazł się na twoim albumie?

MIŁOSZ BORYCKI: To było tak, że na jednym ze spotkań z zespołem „Śląsk” zaproponowałem, że może jednym z utworów, które by się znalazły na tej płycie byłby jakiś utwór, który zrobilibyśmy na nowo, z wykorzystaniem starych wokali, na przykład Czesława Niemena, albo Marka Grechuty, bo oni współpracowali z zespołem „Śląska” za życia. I zaczęliśmy o tym rozmawiać i ekipa ze „Śląska” powiedziała, że spoko, że to jest do zrobienia i są w dobrych kontaktach ze spadkobiercami tych numerów i ludźmi, którzy zarządzają prawami, ale, że są też w bardzo dobrym kontakcie z Kamilem Sipowiczem i że może to jest album, na którym po raz pierwszy miałyby Kora zaśpiewać z zespołem „Śląsk”. Ja jestem w ogóle okropnym fanem i w momencie jak to usłyszałem, powiedziałem: „Jezus, tak”. Zadzwoniliśmy do Kamila, Kamil się okazał super wspaniałym człowiekiem, z którym generalnie dogadaliśmy temat w ciągu dwóch rozmów telefonicznych i po trzech dniach miałem wokal, nawet trzy, do trzech różnych numerów i po prostu zacząłem pracować nad tym, który numer to będzie i powstał.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Kora to jest chyba taka szczególnie bliska artystka twojemu sercu. Zdaje się, że tak ma na imię twoja córka?

MIŁOSZ BORYCKI: Tak. Moja córka ma na imię Kora. Nie ze względu na Korę Jackowską, w sensie Olgę Jackowską, ale ja jestem człowiekiem, który wychowywał się w domu, gdzie słuchało się dużo dobrej, polskiej muzyki i jeżeli słucha się dużo dobrej, polskiej muzyki, to nie można nie słuchać Maanam i ten Maanam w moim domu zawsze istniał, zawsze istnieć będzie i w momencie, kiedy pracowałem nad tym numerem, to naprawdę obawiałem się tego, że przyniosę go i puszcę go kiedyś matce i ojcu, i oni powiedzą: „Mogłeś nie ruszać”, ale Bogu dzięki, udało się.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A nawiązując jeszcze do tych charyzmatycznych postaci z historii polskiej muzyki, to można też tam znaleźć odniesienie do „Masakry”, zespołu Republika, w opisie płyty: „Raz na milion lat”.

MIŁOSZ BORYCKI: To jest takie nie do końca zamierzone nawiązanie, ale już gdzieś mi ktoś tam wskazywał. Republika też jest wspaniałym, wielkim, bardzo istotnym zespołem dla mnie i dla mojej rodziny i w ogóle dla całej polskiej muzyki i tak powinno być. Ciechowski jest w ogóle legendą i dla mnie jest totalnie wzorcowym przykładem tego, jak świadomym artystą można być i jak świadomie można omijać takie najprostsze rozwiązania i tworzyć coś, co nie jest konwencjonalne, a jest dobre i Błażej Król jest w ogóle pokłosiem, moim zdaniem, ogromnym pokłosiem przykładowo Republiki.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A ja przyznam, że kiedy przeczytałam to zdanie w opisie, to od razu miałam Ciechowskiego w głowie. Rozmawiając o twojej twórczości, nie sposób się nie odnieść do początków twojej kariery muzycznej i myślę, że jesteś w ogóle bardzo ciekawym przypadkiem. Od rapera, do producenta, kompozytora. W pewnym momencie się okazało, tak jak powiedziałaś, że rap to trochę za mało, ale z pewnością to ukształtowało to, jakim człowiekiem, jakim artystą jesteś teraz. Jaka jest ta najważniejsza lekcja z tamtego okresu twojej twórczości? Czego cię nauczył rap czy przynależność do subkultury hipopowej?

MIŁOSZ BORYCKI: Żeby niespecjalnie do jakiejś subkultury przynależać.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ale byłeś częścią tej sceny.

MIŁOSZ BORYCKI: Oczywiście, że byłem częścią tej sceny i podejrzewam, że dalej w jakimś stopniu jestem częścią tej sceny, bardziej historyczną. Jest to dalej taka forma, w której na żywo, jako wokalista, sprawdzam się najlepiej, ale jednak rap w czasach, w których ja w nim mocno siedziałem, sam się trochę szufladkowałem i to było trochę niepotrzebne, bo ja zawsze szukałem, grzebałem i myślałem o tym, jak to, gdzie wyjść z tego szerzej, jeżeli chodzi o instrumentalizm i takie rzeczy. Gdzieś jakoś w ostatniej rozmowie wspominałem o tym, ilu raperów na przestrzeni, na przykład lat dwa tysiące dziewięć – dwa tysiące szesnaście, moim zdaniem powinno założyć zespół, bo rozmawiając z nimi widziałem, że oni byli wspaniałymi, takimi liderami bandowymi, którzy mogliby stworzyć wspaniałe rzeczy z żywym zespołem, a współpraca z żywym zespołem rozwija też frontmana, a że frontmanami w takich zespołach zawsze są i mnie to rozwinęło w ogromnym stopniu. Jak ja już trafiłem na chłopaków, jak już złożyliśmy z Jackiem orkiestrę i jak to zaczęło wszystko funkcjonować, to doprowadziło to do tego, że koniec końców, w dwa tysiące dwudziestym roku wiem, co nacisnąć na klawiaturze, żeby powstawały pieśni współczesne, tak w skrócie, a ten zaszufladkowany rap trochę od tego zawsze uciekał i jeżeli ta kultura miała ewoluować w jakąś dobrą stronę, to wtedy. Moim zdaniem w dobrą stronę, bo teraz jest to tylko i wyłącznie moje zdanie, taka odtwórcza kultura. Odtwórcza względem tego, co się dzieje na Zachodzie i za oceanem, a bardzo, bardzo mało rzeczy takich lokalnych, świeżych powstaje z takiego organicznego powodu.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Ja mam w głowie twoje różne wersy z tamtego okresu twórczości, w których opowiadasz o Śląsku, o swojej małej ojczyźnie i wydaje mi się, że ten lokalny patriotyzm cały czas jest w twojej muzyce, tylko środki się zmieniły. To odnajdujemy też na tej płycie. Czy powiedziałbyś, że mógłbyś ją zadedykować Śląskowi?

MIŁOSZ BORYCKI: Ja mogę ją zadedykować wszystkim ludziom, którzy kochają miejsce, z którego pochodzą, tak jak ja Kocham Śląsk. To nie chodzi o to, że ta płyta mówi o Śląsku. Ta płyta mówi o przywiązaniu do miejsca, a każdy jest od siebie. Tak można powiedzieć. Każdy pochodzi, znaczy nie, bo są ludzie, którzy pochodzą z jednego miejsca, ale generalnie nie chodzi o to, żeby zamykać się w ramach jakiegoś regionu, chodzi o to, żeby zamykać się w ramach jakiegoś oddania i to oddanie jest dla mnie ważne, bo „Mantra” jest napisana totalnie na podstawie tego, co ja obserwuję w śląskich domach od lat i co we mnie najbardziej zawsze w tym takim oddaniu, w takiej powtarzalności, międzypokoleniowej, było najistotniejsze i najmocniej trafiło, a wysłałam ten tekst do Igora Herbuta i on mówi: „stary, to jest dokładnie to samo, co u mnie, ja jestem w zasadzie z Dolnego Śląska, ale totalnie z innej ziemi jeszcze przerzucony wcześniej”. Wszyscy wiemy, że Igor Herbut jest Łemkiem i potrafi odnaleźć w stu procentach siebie i chciałem, żeby ludzie nie sugerowali się nazwą zespołu „Śląsk”, jeśli chodzi o tematykę tej płyty, bo tematyka tej płyty jest ludzka, a wszyscy ludzie powinni wiedzieć, skąd pochodzą.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Co jest w takim razie najważniejsze, twoim zdaniem, w pisaniu tekstów. Niezależnie od tego, czy to są teksty do utworów na nielegal, czy na płytę, na której znajdują się najbardziej rozpoznawalni polscy twórcy.

MIŁOSZ BORYCKI: Żeby pisać je po prostu w zgodzie z tym, co się ma w, chyba, sercu. To jest trochę taki kolokwializm, ale to chyba o to chodzi, bo jeżeli to jest, te teksty są szczerze i takie pełne prawdy, to z reguły trafiają. Tak jest w moim przypadku. Jeżeli ja słucham tekstów innych autorów, wykonawców, z reguły w Polsce mamy szczęście do tego, że większość wykonawców jest też autorami swoich tekstów, to jeżeli są szczerze i prawdziwe, nawet, jeżeli dotyczą tematów, które na początku wcale mnie nie rażą, to ja to doceniam i jeżeli te teksty pochodzą z zewnątrz i nie są określone jakimiś ramami cenzury i kalkulacji, względem publiczności, to są po prostu dobre. Mogą być mniej, lub bardziej, ale są po prostu dobre.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: To chciałabym cię na zakończenie zapytać o to, do czego ty dążysz, jako twórca. Twórca to jest chyba takie bezpieczne określenie, bo jesteś takim artystą, który musi cały czas przeskakiwać siebie.

MIŁOSZ BORYCKI: Bardzo fajne określenie - twórca. Nie lubię słowa artysta w ogóle. To jest nadużywane słowo. Dążę do tego, aby zaskakiwać samego siebie tym

wszystkim, co się dzieje, bo ta płyta powstawała długo, bo ta płyta dopiero teraz wychodzi na światło dzienne, ale już na przykład w marcu, czy na przełomie marca i kwietnia, miałem w pełni gotową, skupiliśmy się na pracach nad wideoklipami, nad singlami, całą promocją, otoczką, wydaniem. I miałem jakieś takie trzy czy cztery tygodnie, gdzie w ogóle, ani razu nie posłuchałem żadnego utworu z tej płyty i to mi się rzadko zdarzało, a jeszcze do premiery były chyba z cztery miesiące i nagle żona mnie poprosiła, mówi: „Puść mi w ogóle *Pieśń*” i tak puściłem je od lewej do prawej i ta płyta przeleciała, i tak spojrzałem na Sandrę i powiedziałem: „Ja do teraz nie mam pojęcia, jak to się udało, to jest fajne”. Do tego dążę, żeby po każdej płycie mieć takie wrażenie.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: „Pieśni współczesne” od dwudziestego czwartego września. Miłosz Borycki był dziś gościem Audycji Kulturalnych. Bardzo ci dziękuję za nasze spotkanie.

MIŁOSZ BORYCKI: Dziękuję bardzo.

♪[Fragment utworu „Mantra”]

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: A o znaczenie utworu „Mantra” zapytałam też Igora Herbuta.

IGOR HERBUT: Kwestię interpretacji zawsze zostawiam otwartą, zawsze. Nawet przy swoich tekstach, przy swojej muzyce. Śmieję się, że sam bym nie trafił w klucz interpretacji i to jest takie bardzo ciekawe, bardzo ciekawe, inspirujące i tak to pozostawię, bo dla każdego jest o czymś innym, i dla mnie jest o czymś konkretnym, i dlatego postanowiłem, tak naprawdę być tego częścią, tego projektu i zaśpiewać to, myślę, że bardzo, bardzo mocno z serca.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Było z serca, to prawda. Pamiętasz ten moment, kiedy Miłosz do ciebie zadzwonił z propozycją zaśpiewania jego utworu? Bo ty też jesteś autorem tekstów przecież.

IGOR HERBUT: Tak. To było bardzo ciekawe, ponieważ za pierwszym razem, jak zadzwonił do mnie Miłosz, my się, ja się śmiałem na koncercie, ale tak było, kilkakrotnie mijaliśmy się na ulicy. W różnych miastach. Tak dosłownie w różnych miastach, po prostu. On gdzieś grał, ja gdzieś grałem. Cześć, cześć, chociaż się nie

znaliśmy. Wiesz, taki japoński szacunek muzyk – muzyk, lubię – lubię, ale się nie znamy. I on wykonał ten pierwszy krok. Zadzwoił do mnie - „Cześć. Nie znamy się, ale chciałbym zrobić z tobą utwór. Chciałbym, żebyś był częścią pewnej ważnej dla mnie rzeczy” i ja powiedziałem: „Fantastycznie człowieku. Niesamowite to jest, że dzwoniś. Bardzo chętnie”, a ja byłem taki bardzo skryty do innych artystów i tak dalej, na inne rzeczy, do momentu mojego „Chrustu” solowego i po wydaniu mojej solowej płyty jakoś tak się bardziej otworzyłem na różnych ludzi, muzycznie i tak w ogóle też, po prostu, ludzko. I powiedziałem: „Dobrze. Spróbujmy”. To, co było pierwsze, jak zacząłem nad tym pracować, powiedziałem mu: „Miłosz, to się nie uda. Nie. Nie, po prostu nie”. On mówi: „Dobra. Ok. W porządku, rozumiem” i po tygodniu zadzwonił jeszcze raz: „A słuchaj, mam coś takiego”. Więc to jest też rzadko spotykane, ale wiesz, on nie obraził się, nie powiedział: „Niech spada ten Herbut”, tylko po prostu mówi: „Dobrze. To w takim razie, jeżeli trafiłem na człowieka, który faktycznie wie, czego chce i zrobię to tak, żeby to wszystko zaklikało”. I tak zrobił. Wysłał mi, teraz już „Mantrę”, ja podszedłem do pianina, wysłałem mu to, jak śpiewam i tak dalej, i tak dalej. Po dziesięciu – piętnastu minutach w sumie sami sobie napisaliśmy wzajemnie, że to jest fantastyczne, i to się wydarzyło.

DZIENNIKARKA MARTYNA MATWIEJUK: Powstał wspaniały projekt, z którego małą próbkę mieliśmy tutaj okazję przed chwilą wysłuchać. Zastanawiam się, w czym byś upatrywał największej wartości tego albumu, jakim są „Pieśni współczesne”?

IGOR HERBUT: Ojejku. W prawdzie, szczeroci. W emocjonalności. Fantastyczny projekt i koncertowo nie mogę się go doczekać. Tu mieliśmy przedsmak tego dziś. Śląsk – to jest potęga. Ja jestem, też wywodzę się trochę z folku, innego, łemkowskiego może bardziej, ale ten korzeń jest wyczuwalny mocno i ci artyści, to towarzystwo różne, tak zwanej muzycznej maści, jest bardzo inspirujące i wspaniałe. I te klipy, ta ekipa cała, to są wspaniali ludzie, których ja nie znam, jakby nie znałem ich. To jest zupełnie inny świat, tak naprawdę. Ja dzisiaj tu jestem i to jest inna rzecz. Ja dziesięć lat to robię, z Lemon czy teraz sam, sam ze sobą, solo, ale wciąż dostrzegam, ile jest nowych rzeczy do odkrycia i muzycznie, i ludzko, i to jest inspirujące bardzo, bo myślałem, że już nic mnie nie zaskoczy w życiu, ale jednak się myliłem.

♪[PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: „Audycje Kulturalne” – w dobrym tonie